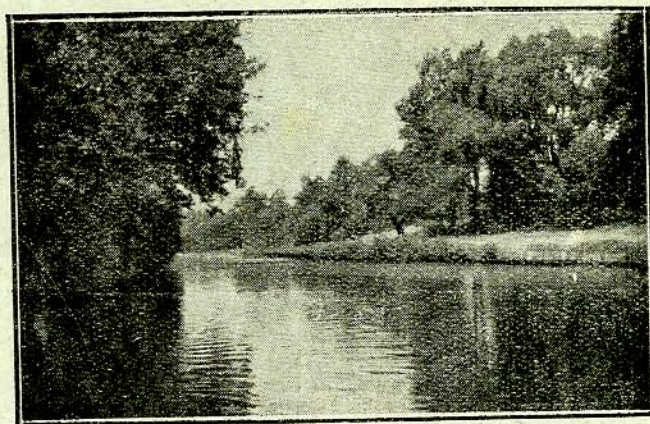


BIELSKA POLSKA
KRAJOWA BIBLIOTEKA
1937

GŁOS UCZNIOWSKI



ROK 1937.

Nr 4.

TREŚĆ NUMERU:

1. Od Redakcji.
2. Czego Polska oczekuje od swej młodzieży? — przemówienie Pana Ministra W. R. i O. P.
3. U progu nowego roku szkolnego — Wł. R. 281.
4. Moje wrażenia z V-ego Jamboree — Mikołajczak 282.
5. Z obozu w Rajczy — M. F. 283.
6. Do Lwowa i Worochty — St. Wiktoro 281.
7. Na pojezierzu augustowskim — „Ja” 283.
8. Wycieczka — Mietek 281.
9. Niech żyje Armia! — H. K. IV-a, 283.
10. Na Krywlanach — „Ka-Zet” 231, 1 lic.
11. Kometa Finslera — „Astronom” 281.
12. Na giełdzie — L. i D. 283.
13. Za kulisy po słowo — Mar 282 — Ja 283.

DZIAŁ LITERACKI:

14. Pragnąlbym... — S. Pankowski 281.
15. Rozśpiewał się... — S. Pankowski 281.
16. Biły zegary... — S. Pankowski 281.
17. Opowieść o psie Kruku — S. Pankowski 281.
18. Kronika.
19. Konkurs na okładkę.
20. Odpowiedzi Redakcji.

Linoryty w tekstach artykułów wykonał J. Baranowski 281.

„Razem, młodzi przyjaciele!

W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele”.

A. Mickiewicz.

Głos Uczniowski

PISMO MŁODZIEŻY

Adres: Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku, Świetlica „Samopomocy Uczniowskiej”.

Koleżanki i Koledzy!

Po dwumiesięcznym odpoczynku spotykamy się pełni nowych sił i radości w drogich nam murach szkolnych. Wszyscy już przystąpiliśmy do swych codziennych warsztatów pracy.

Zajęła przy nim swe miejsce również Redakcja „Głosu” i wita niniejszym numerem, który w prze-ważnej swej części został poświęcony wspomnie-niom wakacyjnym, swe Czytelniczki i Czytelników.

Z uczuciem najserdeczniejszej przyjaźni wy-ciągamy również dłoń do naszych najmłodszych Koleżanek i Kolegów, którzy po raz pierwszy zna-leżli się w murach gimnazjum, i zachęcamy ich do współpracy.

Niech nowy rok szkolny zmobilizuje do niej całą młodzież trzech gimnazjów, czego mamy pra-wo tym bardziej się spodziewać, że pismo nasze obchodzi w bieżącym roku szkolnym PIĘTNASTO-LECIE swego istnienia, które upamiętnić pragnie-my wydaniem specjalnego numeru jubileuszowego.

REDAKCJA.

Czego Polska oczekuje od swojej młodzieży?

Przemówienie Pana Ministra Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego przez radio w dniu 4-IX-1937 r.

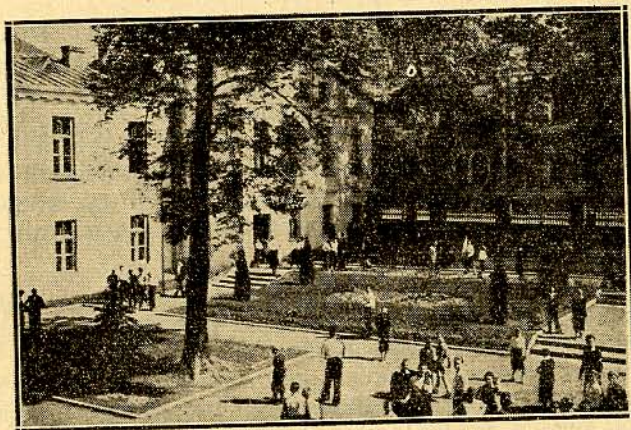
„Młodzieży polska.

Zwracam się do Was z tymi kilku słowami w chwili, gdy rozpoczynacie nowy rok szkolny. Zdarzenie to ważne w Waszym życiu, a także w życiu Waszych rodziców i opiekunów, nauczycieli i wychowawców. W dniu rozpoczęcia zajęć w szkołach bez przesady niemal całe społeczeństwo bierze żywy udział. Przecież wyrusza do szkoły ponad 5 milionów młodzieży. Cóż dopiero mówić o Waszym wzruszeniu. Wielu z Was wchodzi po raz pierwszy, inni po paromiesięcznej przerwie do gwarnej klasy. Wchodzicie weseli lub zatroskani, uśmiechnięci lub zasmuceni, może po świeżym rozstaniu się ze swoimi najbliższymi. Jedni pełni otuchy, a nawet pewności siebie, inni nieśmiali, to znów pełni nadziei, lub przeciwnie, zaniepokojeni tym, jak też się powodźć będzie w tej szkole. A wszyscy mimo przeróżnych uczuć i wzruszeń ciekawi jesteście, czego się w szkole nauczycie. Niejeden we snach swych widzi się dorosłym i marzy dziś o przyszłych pięknych i sławnych czynach.

Wiedźcie, że w dniu tym, jak zresztą zawsze, my — starsi, rodzice, opiekunowie i nauczyciele, z radością spoglądamy na Waszą ruchliwą, wesołą, rozbawioną gromadę, z radością i nadzieją, nikt bowiem inny jeno Wy zastąpicie z czasem nas starszych, aby pracować dalej nad rozwojem Polski i ugruntowaniem Jej mocy, potęgi i sławy.

A przecież już wiecie, lub niektórzy z Was wkrótce się dowiedzą, że Ojczyzna nasza jest to kraj wielki i rozległy. Składa się na nią wszystko, na co oczy Wasze patrzą: pola i lasy, wsie i miasta, równiny i góry, rzeki i doliny, wreszcie ów niewielki, ale jakże nam drogi skrawek wybrzeża morskowego, na którym w ciągu kilkunastu lat zaledwie osiedliła się w polskim porcie w Gdyni przeszło stutysięczna rzesza naszych rodaków, aby tam straż trzymać i polski zamożski handel rozwijać.

Kraj nasz jest nie tylko rozległy, ale zarazem osoblwy. Poszczególne bowiem jego ziemie różnią się znacznie między sobą pod wieloma względami. To też dokonać będziecie musieli pewnego wysiłku, aby należycie poznać swoją Ojczyznę i nauczyć się kochać i cenić każdy Jej zakątek i rozumieć jego znaczenie dla życia i dalszego rozwoju całości kraju. Nieśluszenie też czyni ten, kto poza ukochaniem swoich najbliż-



Gimn. im. kr. Zyg. Aug.: na skwerku szkolnym.

szych stron rodzinnych nie stara się rozbudzić w sobie miłości dla reszty kraju.

Życzę Wam przede wszystkim, abyście zdobyli w Waszej szkole potrzebne wiadomości o całej Polsce tak, abyście nie tylko Ją całą swą duszą pokochali, lecz abyście rolę poszczególnych ziem w rozwoju całego kraju należycie zrozumieli.

Czeka Was w szkole inna zdobycz. Szkoła nauczy Was poznawać stopniowo, w jaki sposób macie wyrażać swe myśli w mowie i piśmie. Początki tej umiejętności wydawać się Wam będą mozolne i trudne, wymagać bowiem będą ćwiczeń i skupionej uwagi. Ocenieć jednak potraficie w przyszłości, że trud ten stokrotnie się Wam opłaci. Stopniowo stawać się będziecie zgoda innymi ludźmi. Potraficie patrzeć na wszystko innymi oczyma i będziecie umieli mówić o wszystkim, wyrażając swe myśli tak jasno, pięknie i wyraźnie, jakbyście nigdy przedtem tego uczynić nie mogli. Poznacie bogactwo języka, a wczytując się w piękne dzieła literatury, przekonacie się, że zawierają treść tak piękną, tak bogatą, tak różnobarwną, jak pięknym, bogatym jest nasz kraj rodzinny.

Zwracam się przez Radio do wszystkich Was rozsianych po całym kraju. Mogę to uczynić, gdyż dzięki wyteżonej pracy ludzkiego umysłu zdołano wyrwać przyrodzie ukryte jej tajemnice i tak je ujarzmić, że bez trudu umiemy głos ludzki przeczucić przez góry i pola, lasy i rzeki do najbardziej odległych ziem naszej Ojczyzny. Jeszcze przed kilkunastu laty

byłoby to niepodobieństwem. Niepodobieństwem byłoby też latać po przestworzach, przebywając setki kilometrów w ciągu paru godzin koleją żelazną lub samochodem po bitych drogach. Los sprawił, że Wasze pokolenie od zarania młodości patrzy i korzysta z nowych form życia ludzkiego, a więc wiedzieć powinno, że wszystkie te zdobycze zawdzięcza wyteżonej pracy ludzi nauki, którzy jako cel swego życia postawili badanie tajemnic przyrody i wyzyskiwanie poznanych zjawisk dla dobra ludzkości.

Szkoła da Wam w tej dziedzinie i wielu innych poznanie i wytłumaczenie przeróżnych zjawisk przyrody. Poznając je, będziecie przeżywali chwile piękne i radosne, gdyż każdy umysł ludzki odczuwa rozkosz, gdy zaświta w nim świadomość, że doszedł do zrozumienia tego lub innego zjawiska lub że poznał prawa rządzące przyrodą.

Wszystkie te wiadomości, tak pożyteczne i piękne, a w życiu człowieka konieczne, nie wyczerpią tego, co ze szkoły ze sobą wyniesiecie.

Przyszłe Wasze życie byłoby ubogie, jednostronne, niejako zacieśnione, gdybyście nie wynieśli ze szkoły gruntownej znajomości historii Polski, gdybyście nie mieli ukochania wielkich czynów bohaterów narodowych, gdybyście wreszcie sami nie zrozumieli wielkich celów życia ludzkiego, znaczenia wysiłków zbiorowych i każdego pojedynczego człowieka.

Niejednemu z Was uczącemu się historii dziejów ojczy- stych o bohaterskich czynach, wyteżonej pracy wielkiego patriotyzmu wielkich przodków naszych może się wydać, że minęły czasy, kiedy Ojczyzna wymagała wyjątkowego bohaterstwa, wyjątkowej pracy lub całkowitego poświęcenia się służbie dla Polski i dobra jej obywateli. Taki pogląd byłby błędem ogromnym, gdyż przeżywamy obecnie czasy, kiedy zarówno od pojedynczych obywateli, jak też i od całego społeczeństwa wymagana być musi nieustanna, wyteżona praca i wielka ofiarność. Życie państw i narodów przebywa taki okres stosunków międzynarodowych, które stwarzają warunki, w jakich przy życiu utrzymać się zdoła, zachowując zupełną polityczną i gospodarczą niezależność, tylko takie państwo, które zaszczerpie potrafi swym obywatelom od zarania ich młodości głębokie uczucie miłości Ojczyzny, gotowość do ponoszenia ofiar krwi i mienia, aby ustrzec granice i przyczynić się do dalszego rozwoju i umocnienia bytu swej Ojczyzny.

Czasy obecne wymagają, aby bohaterami czynu i ofiarnej pracy stali się wszyscy obywatele, aby też wszyscy zrozumieli, że niewola polityczna lub ekonomiczna, ubóstwo kul-

tury lub nawet niedostatecznie rozwinięte formy życia zbi- orowego są, lub stać się mogą z czasem zaprzepaszczeniem Na- rodu i Państwa.

Na Was też, dzieci i młodzieży, gdy dorośniecie, spadnie wielki zaszczyt, ale też i wielka odpowiedzialność za dalsze losy naszej Ojczyzny.

Chcemy Was nauczyć tego wszystkiego, co będzie Wam potrzebne, abyście byli należycie przygotowani do walki o byt i dalszy niezależny i, mamy pełną ufność, wspaniały rozwój całego naszego Narodu.

Wiedźcie, że macie wielki zaszczyt żyć w takiej epoce dziejowej, w której wysiłek woli, przejaw silnego charakteru wymagany jest dosłownie od każdego obywatela. Wiedźcie i trzymajcie to w pamięci, że w młodości kształtuje się całe przyszłe życie człowieka. To też w szkole pracujecie sami dla siebie i dla ogółu, gdy każdy dzień, każdą godzinę przeżywa- cie tak, aby wzbogacały i rozwijały Wasz charakter, pogłę- biały umysł, budziły ukochanie tego, co dobre, czyste i piękne. Winnicie też za młodu kształtować swoją postać duchową tak, aby młodości swojej się nie powstydzicie.

Przed Wami stoi nowe i jak zawsze nieznanne nam bliżej jutro. Nikt nie zdoła go dojrzeć i przewidzieć, — to jednak wiemy wszyscy, że im goręcej Polskę ukochamy, im lepiej zrozumiemy, że losy Jej zależą od Waszej woli, hartu, siły du- chowej, charakteru i pracy, tym pewniejszą będzie przyszłość Tej, co odrodzona przed 19 laty, krwią najlepszych Jej synów wywalczona, rość powinna w moc, potęgę i chwałę.

Witając więc Was u progu nowego roku szkolnego przy- pomnieniem zadań i wysiłków, jakie Was czekają — życzę Wam wszystkim, aby praca Wasza — radosna a wytrwała, młodzieńcza a zmierzająca ku przyszłości — dała jak najlep- sze wyniki, a Wam samym — poczucie zadowolenia z nale- życie wypełnionego obowiązku.

Dajcie Polsce to, czego od was oczekuje“.

U progu nowego roku szkolnego.

Poza sobą mamy już słoneczne wakacje i tylko czasami gdzieś w kąciek myśli, opanowanej obecnie niepodzielnie troskami i radościami nowego roku szkolnego, przemknę wspomnienie tych błogich chwil, jak echo radosnej melodii.

Nic w tym dziwnego, że obecny rok szkolny w sposób szczególny przykuwa uwagę ogółu uczniów, bo też jest rokiem wyjątkowego znaczenia ze względu na reformę szkolnictwa średniego, która właśnie w tym roku przeprowadzona zostanie ostatecznie. Szkoła średnia zgrupowała w tym roku w swych murach aż trzy różne rodzaje uczącej się młodzieży.

Najmłodszy z nich — to uczniowie czteroklasowego gimnazjum. Idąc nowym, nieprzetartym wieloletnią praktyką szlakiem, być może napotkają w swej drodze jeszcze na pewne trudności. Lecz cóż to znaczy wobec młodzieńczej ambicji, która nie unikać przeszkód, lecz lubować się ich pokonywaniem nakazuje.

Punktem honoru młodych gimnazjastów stać się powinno wykazanie, że ciężącemu na nich obowiązkowi podołają i że w pracy swej staną na tym poziomie, jakiego od nich wymaga program nauczania.

Starszym elementem szkolnym są abiturienti nowego gimnazjum, którzy wykazawszy się dostatecznym przygotowaniem, jako pierwsi wkroczyli w roku obecnym na teren nowo powołanego do życia liceum. Im przypada w zaszczyt roli pionierów, kroczących z dumą po nowych szlakach, lecz jednocześnie specjalny obowiązek nauki, o którym stale pamiętać powinni.

Wreszcie najstarsi — to ostatni już reprezentanci dawnego gimnazjum, dostojni ośmioklasiści (niech się na mnie nie obrażą, że piszę o nich na końcu!).

Na nich spoczywa honor tradycji, honor, którego nie wolno im zachwiać. Ostatni rok swego pobytu w szkole i ostatni rok istnienia dawnego typu gimnazjum upamiętnić powinni stu procentową maturą, czego mamy prawo od nich się spodziewać i czego im z głębi serca życzymy.

Wł. R. 281.

Moje wrażenia z V-ego Jamboree w Holandii.

Jamboree pociąga harcerza, bo daje sposobność poznania nowych ludzi i nowych krajów, zaspakaja chęć podróżowania, daje swobodę ruchów. Pociągało ono i mnie swą nieodpartą siłą. Nie mogłem się doczekać wyjazdu. Jako uczestnik Jamboree poznałem jeszcze i inne jego wartości. Już na koncentracyjnym zlocie w Sierakowie zrozumiałem, iż udaję się nie tylko po nowe wrażenia, lecz że głównym moim zadaniem jest godnie reprezentować Polskę, i należycie ukazać się za granicą, oraz postanowiłem, że wszystko będę robił z myślą, że czynię to nie tylko jako człowiek, lecz jako Polak. Zrozumienie to dodawało mi siły i chęci do wytrwania w czasie nużących ćwiczeń podczas pokazu.

Mimo, że „lecieliśmy“ z całego świata, aby podać sobie bratnie dłonie, czuliśmy wszyscy, że silniej niż idea harcerska łączą nas węzły krwi własnego narodu. Czuliśmy się przede wszystkim polskimi harcerzami. Kiedyśmy stanęli do odmarszu w jednej kolumnie z tornistrami i w pelerynach, jeszcze bardziej uwydatniających nasz wzrost, stwierdziliśmy z zadowoleniem, iż pod względem tężyzny fizycznej na pewno nie będziemy ostatni. I nie zrobiliśmy za granicą zawodu Polsce i naszym braciom — harcerzom. Nasze „Czuwaj“ rozbrzmiewało w całej Holandii, peleryna i czapka były witane radośnie i owacyjnie, pokaz nasz, jedyny zresztą, powtarzany był na arenie jamboreowej, nasz obóz był bodaj najlepszy i w ogóle bez zarzutu, o nasze podpisy wynikały wprost walki, nigdzie też nie można było się ruszyć, żeby zostawili człowieka w spokoju.

Polska! Oto wyraz, wymawiany przez wszystkich z podziwem, z zazdrością!

Jechaliśmy szukać bratnich dusz wśród skautów białych, czerwonych, czarnych, czy żółtych. Czyśmy znaleźli? Tak! Idea skautowa promieniowała tak silnie, że mimo ogromne różnice wieku, mimo odrębności rasowe i narodowościowe, mimo trudności językowe, wszyscyśmy się czuli bliscy, a w jaki przedziwny sposób rozmawiało się z Chińczykiem, czy Indianinem — tego już nie pamiętam.

Różnice — różnice były duże: z namiotów skautów amerykańskich wзираł wszędzie dobrobyt i dolar, to już byli nawet wypaczeni skauci, niepodobni zupełnie do pierwszych angielskich gońców wojennych i trochę późniejszych skautów Sir Baden-Powella; z węgierskiego obozu szło zawsze echo pieśni,

czy też dźwięki orkiestry; francuskie namioty zapraszały na beztroską gawędę; z „Tyrolu” biło pod niebiosy przejmujące „jodłowanie” stęsknionego śpiewaka; Litwa była ponura i smętna. Nas Polaków doskonale scharakteryzowała ilustracja w „Jamboree — post”. Oto stoi trzech polskich harcerzy-gładiatorów, postacie w pelerynach, dumne, jak ze spiżu ulane, po wszystkich stronach zaś drobne postaci zadziwionych i zalęknionych skautów. Tak, wystrzeliliśmy ponad 28-io tysięczną masę skautów. Posądzano nas nawet, że jesteśmy organizacją wojskową. Wiele było jednak momentów, które nas łączyły w jedną wielką rodzinę: gdyśmy np. śpiewali na ognisku pieśń Jamboreową i 30.000 głosów, wydobytych z pełnych piersi, zróżniczkowanych pięćdziesięcioma językami uderzało w górę, wtedy jakby pod jakimś nadzwyczajnym wpływem jeden do drugiego uśmiechał się, potem obejmował, zawierał przyjaźń. Pod wrażeniem tej pieśni zachodziło dużo różnych przyjemnych wydarzeń: podarunki, zaproszenia, wspólne wycieczki.

Wspomnę jeszcze o sprawie ważnej dla każdego skauta: o sprawie czendżu. Zamieniano — co kto mógł! Począwszy od bucików i pończoch, a skończywszy na patelni czy kocu wszystko szło na „handel”. Nie tylko uprawialiśmy „change”, ale równie chętnie obdarzaliśmy się różnymi rzeczami, zapraszaliśmy się do obozów, zamieniali mundury. Pamiętam, jak wiele przez to wydarzyło się scen humorystycznych. Raz przebrałem się za Holendra, a „mojemu zamorkowi” z Hagi dałem pelerynę i rogatywkę. Czegożesmy nie wyprawiali! Ileśmy się naśmiali, gdy salutując swemu koledze, czy przyjacielowi, otrzymywaliśmy w zamian zdziwione spojrzenie, świadczące o tym, że „gość” nas nie poznał.

Za postacią naszego kochanego Bi-Pi (Baden - Powella) szły spojrzenia nas wszystkich, spojrzenia pełne miłości, uwielbienia i szacunku. Ten nadzwyczaj miły staruszek był dla nas czymś b. wielkim, czymś, co się nie da wypowiedzieć! Bo przecież my wszyscy, synowie różnych krajów i kultur, byliśmy braćmi za sprawą jednego tego Człowieka!

Skończyły się piękne i beztroskie dni. Ruszyliśmy we wszystkie strony świata unosząc w sercach niezapomniane wspomnienia drogich chwil na Jambo. Wieźliśmy też wiarę, że idea nasza, zataczając coraz szersze kręgi, prowadzi nas ku pięknu, prawdzie i dobru. My, Polacy byliśmy dumni, żeśmy spełnili dobrze obowiązek.

Należałem do grupy, która wyruszyła w dalszą wędrówkę. Podziwiałem na wystawie światowej wspaniałe dzieła rąk i mózgów ludzkich, przepiękne zabytki samego Paryża; wi-

działem dziesiątki miast i piękne wybrzeża Renu. Pełen wrażeń i podziwu, jednak chętnie wracałem do Polski. Przekonałem się, że nie wszystko, co tak pociągało swym pięknem na fotografii, było w rzeczywistości nawet godne widzenia.

Po powrocie, w Polsce, którą wtedy przejeżdżałem prawie całą wszcz, wszystko wydało mi się stokroć piękniejsze, niż dawniej. Doprawdy, warto zobaczyć cudze, ażeby potem bardziej ukochać swoje.

Mikołajczak 282.



Z Obozu w Rajczy.

Za długo, a pewnie i za nudnie byłoby opisywać wszystko i szczegółowo. Oto więc tylko garść wiadomości, trochę wspomnień, opisów, wrażeń.

Obozowałyśmy w Rajczy, było nas 25 osób z drh. kom. p. Moczydłowską i opiekunką p. Jegłowską na czele.

Czy wiecie, gdzie leży i co to w ogóle jest „Rajcza“?

Jest to piękna kotlina górską w Beskidzie Zach., między sławnym z piwa Żywcem a granicznym Zwardoniem. Góry są niewysokie (niewiele ponad 1000 m.), lecz malownicze, a przy tym wbród czarnych jagód i grzybów. Sama Rajcza, to niewielkie, schludne miasteczko, rozłożone nad brzegami bystrego, górskiego potoku — późniejszej Soły.

Nad tymże potokiem rozłożyliśmy się i my. Smukły, wysoki maszt, u jego stóp trzy jasne niewielkie namioty, opodal polowa kamienna kuchnia pod rachitycznym daszkiem i przy-sadzista spiżarenka — oto jak na pierwszy rzut oka przedstawiał się nasz obóz zwiedzającym go licznym turystom. Ktoś bardziej ciekawy czy zainteresowany, poszperawszy chwilę uważnym okiem, wykryłby może tuż za namiotem Komendy wiołką, lecz pięknie przystrojoną tablicę rozkazów, dalej skromną kapliczkę o regionalnym charakterze, no i już na pewno zauważyłby pod masztem wielki, kunsztownie ułożony z darni i kamyków harcerski krzyż.

Ale niestety rzadko trafiali się tacy pilni turyści i wszystkim te wspaniałości widoczne były jedynie naszym gospodarskim, rozmiłowanym w tym oczom. Bo i jakże nie kochać dzieł rąk własnych, gdy każda deska, każdy krzywo wbity gwóźdź ma swą własną historię.

Historię, stworzoną przez nas.

Bramy triumfalno-witalnej nie miałyśmy. Zamiast niej kuszaco powiewała przysanym wejściu rozpięta siatka do gry w siatkówkę — by nie dłużył się czas wolny. Lecz czas i tak nie dłużył się nam nigdy! Niepostrzeżenie upływały słoneczne, roześmiane dni, tylko uśmiech stawał się coraz radośniejszy i coraz brązowsza skóra.

Po pierwszych pracowitych i twórczych dniach nastąpiły te zwykle, obozowe, tak niesłusznie przezwane szarymi. Dla nas one przecie zawsze były pełne kolorytu i życia.

Pobudka, modlitwa, apel, śniadanie, jakieś ćwiczenia, czy prace rozdane zastępom, obiad, potem cisza, czas wolny, śpiewy — oto główne ramy programu dnia. Wieczorem — naturalnie ognisko, punkt kulminacyjny każdego programu.

Wesoło trzeszczy suchy chróst, beztrosko i radośnie tańczą złote języki ognia. Pokazy niewyszukane, domorosłe obozowe talenty.

Nie wspominałam jeszcze o wycieczkach, a to przecie jedna z najcharakterystyczniejszych cech naszego życia obozowego. Bo wszak i obóz zwał się krajoznawczy i wiodłyśmy życie pod godłem: „Potok — Bieży i poznaje!”

A wycieczek było wiele i ciekawych. Od krótkiej, kilkogodzinnej na niewysoką Zabawę (800 m.), aż do dwudniowej na Babią Górę (1725 m.). Zwiedziłyśmy Żywiec i Porąbkę, zdobyłyśmy Rycerzową i Raczą.

Czas w tych warunkach upłynął tak szybko i mile, że, choć stęsknione za domem, z żalem myślałyśmy o coraz bliższym, coraz bliższym odjeździe.

Aż wreszcie nadszedł i kres. Zwalenie masztu, zwinięcie kuchni i pośpieszne odwracanie oczu od miejsc, gdzie kiedyś... stały namioty.

W drodze powrotnej zahaczyłyśmy o Kraków i zwiedziłyśmy go w ciągu dwudniowego pobytu.

Kochane i bliskie są wspomnienia obozowe i z niecierpliwością liczymy dni, dzielące nas od następnego obozu, na który wybieramy się naturalnie wszystkie!

M.F. 283.

Do Lwowa i Worochty.

Z inicjatywy Koła Krajoznawczego przy Państwowym Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta w Białymstoku i przy poparciu i udziale jego Opiekuna, p. prof. I. Spytkowski, odbyła się w dniu 13 czerwca 1937 r. wycieczka do Lwowa i Worochty; w wycieczce wzięło udział 20 osób, członków Koła.

Wyruszyliśmy z Białegostoku wczesnym rankiem. Pogoda piękna. Zebrani na stacji czekamy przybycia pociągu. Długie oczekiwanie przerywa wreszcie przeciągły gwizd, sygnalizujący przybycie pociągu. Za chwilę na torze ukazuje się długi wąż wagonów z sunącą na przodzie lokomotywą. Wszyscy hurmem rzucają się ku zatrzymującemu się pociągowi. Następują ostatnie pożegnania, uściski, rady i przestrogi zatroskanych o całość swych pupilów — rodziców. Kilka jeszcze chwil, tłoczne obłożenie pociągowych okien, z poza których ukazują się roześmiane twarze młodocianych turystów, żegnających się już któryś tam raz z odprowadzającymi ich rodzicami i przyjaciółmi, i powoli, biorąc jakgdyby rozmach, pociąg poczyna oddalać się od stacji, unosząc nas, rozspanych trochę, w szarą przestrzeń wstające-



go ranka.

Pociąg mija stacje, większe i mniejsze.

Jedziemy początkowo przez Podlasie.

Krajobraz na ogół jednostajny. Uwagę wszystkich zwracają tylko rzeki: Narew, Nurzec. Jadąc w dalszym ciągu pośród monottonnych na ogół okolic docieramy do Brześcia. Postój 20 minutowy.

Wychodzimy na peron. Jedni piszą listy do rodziców, drudzy bez celu blakają się po dużej sali dworcowej. Czas mija szybko, zdaje się, że przed chwilą rozstaliśmy się z rodzicami.

Pędzimy teraz niziną Polesia.

Po obu stronach toru rozciągają się bagna i moczary, wypełnione brodzącymi po nich ptakami błotnymi. Gaje karłowatych drzew, bagna i moczary czynią tę krainę ponurą. Pociąg zatrzymuje się w Kowlu. Następuje dłuższy postój.

Korzystając z tego zwiedzamy miasto.

Kowel posiada kilka kapliczek i klasztorów, zbudowanych w stylu bizantyjskim. W nich odbywają się nabożeństwa. Zwiedzamy również jeden z kościołów rzymsko-katolickich. Po zwiedzeniu miasta, obiad — i znowu w drogę.

Jedziemy teraz przez Wołyń.

Hen, jak okiem sięgnąć, rozciągają się uprawne pola, a bujne zboża kotłyszają się pod lekkim podmuchem czerwcowego wiatru.

Mijamy Wołyń i wjeżdżamy w żyzną krainę Podola.

Przed nami rozściela się płaska równina, poprzerzynana gdzieś jarami rzek.

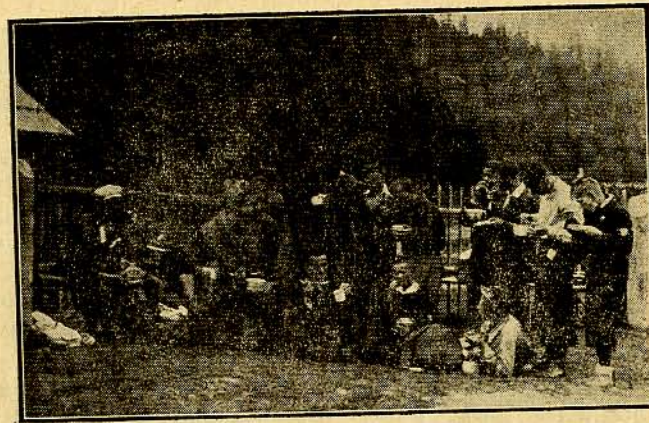
Wkrótce przybywamy do Lwowa, miasta o przeszło 300.000 ludności. Tu spędzamy cały dzień. Zwiedzamy muzea, kościoły, katedry i inne tak bogate i niezliczone zabytki tego miasta. Dużo przyjemności sprawia nam jazda tramwajami, których w naszym mieście nie ma.

Nazajutrz z rana ruszamy w dalszą podróż.

Droga prowadzi przez jar Dniestru. Mijamy Stanisławów i inne stacje i długim, blisko kilometrowym tunelem suniemy wprost do Worochty. Jeszcze pół godziny po przebyciu tunelu jedziemy, aż wreszcie oczom naszym ukazuje się słynna w Polsce i za granicą miejscowość kuracyjna. Jesteśmy w Worochcie.

Zatrzymujemy się w pensjonacie „Maryla”.

Pierwszy dzień mamy do własnej dyspozycji. Jedni udają się w pobliskie okolice Worochty, drudzy zostają w pensjonacie, lub spacerują po mieście. Pensjonat „Maryla” leży prawie nad samym Prutem, to też nad rzeką spędzamy prawie cały dzień, a nawet łązimy po wodzie, ponieważ Prut w tym miejscu sięga zaledwie do kolan.



Obiad w Foroszczence.

Nazajutrz rano o godz. 8 udajemy się do Foroszczenki. Droga długa i uciążliwa. Po kilku godzinach marszu dostajemy się do leśniczówki. Obiad, krótki wypoczynek i ruszamy do schroniska. Po drodze, wymagającej ciągłego wspinania się wzwyż, dostajemy się wieczorem do schroniska. Całodzienne zmęczenie pograża wszystkich w twarde sen.

Nazajutrz rano wyruszamy na Howerlę.

Po długim i uciążliwym wspinaniu się w górę znaleźliśmy się na Małej, a potem na dużej Howerli.

U naszych stóp roztacza się piękny krajobraz. Góry, skąpane w blaskach porannego słońca, pokryte śniegiem i lasem, pamiętające czasy sławy i upadku naszej Ojczyzny, stoją otoczone aureolą śnieżnych obłoków, dumnie strzelając ku niebu. Małe i duże, strome i łagodne, stoją obok siebie jakby wpatrzone w słońce złote i niebo, pokryte bielą obłoków. Hen, na halach słychać piosnkę góralską, lub bek pasących się owiec. W porannym słońcu widzimy opary, unoszące się nad górami. Góry, te polskie góry, ukazują się nam w całej swej krasie. Stoimy na granicy polsko-czechosłowackiej. Zachwyceni górskim krajobrazem schodzimy z Howerli. Na połoninach kupujemy od juhasów bryndzę i robimy mały wypoczynek, po czym ruszamy do schroniska.

Dzień ten do wieczora schodzi nam powoli. Urozmaicamy sobie czas spacerami nad Prutem i w pobliskim lesie. Wieczorem wyruszamy z powrotem do Worochty.

Już było po 10 godzinie wieczorem, kiedy przybyliśmy

do Worochty. Po prostu nie czuliśmy nóg ze zmęczenia. Na jutro rano opuszczamy Worochtę.

We Lwowie pozostajemy jeszcze jeden dzień. Zwiedzamy — cmentarz Obrońców Lwowa, panoramę raclawicką, Górę Zamkową i Kopiec Unii. Z kopca Unii rozpościera się wspaniały widok. Lwów widać stąd, jak na dłoni. Tramwaje i samochody wyglądają, jak pudełeczka od zapalek. Zachodzące słońce rzuca swój złocisty odbłask na kościoły i kamienice.

Nazajutrz ruszamy do Białegostoku.

Pociąg, jak strzała pędzi po szynach, pożerając kilometr za kilometrem. Zatrzymujemy się dopiero w Brześciu nad Bugiem, a z Brześcia mkniemy już prosto do Białegostoku.

Przeszło tygodniowa wycieczka skończyła się i aczkolwiek była dość męcząca, tym nie mniej pozostała w pamięci silne wrażenia i piękne wspomnienia.

St. Wiktoro 281.

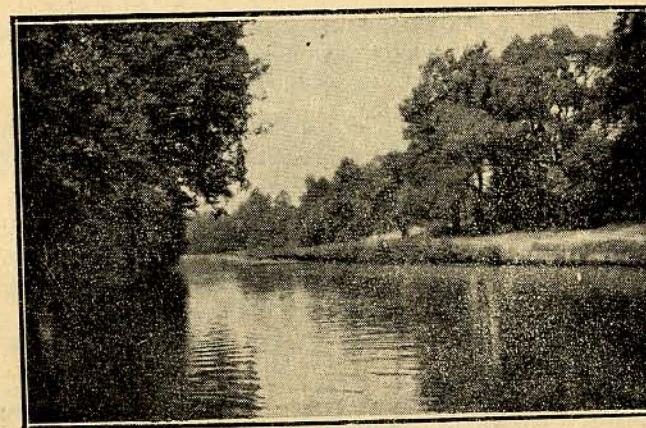
Na pojezierzu augustowskim.

Życie nad wodą wśród lasu i słońca oraz swoboda bez granic mają tyle uroku w sobie, dają tyle sił i przyjemności, że kto raz tego zakosztował, ten na pewno znowu zapragnie.

Zwłaszcza, jeśli spędzi wakacje w tak uroczym zakątku, gdzie w pięknych iglastych lasach na mszystych kobiercach kwitną kwiaty, paproć roztacza swoje wachlarze, gdzie prastare dęby rozkładają ramiona nad gąszczem tarni, głógów i dzikiej róży; gdzie hen na widnokręgu wystrzelają kępy białych brzoź, lub srebrnych topoli, a między tym wszystkim niby rozlane w ogromnej ilości żywe srebro mienia się to szmaragdem, to szafirem, złotem lub srebrem — jeziora, nad którymi rozpuszcza kokieteryjnie obfite włosy wierzba, niby krygująca się przed lustrem stara panna; gdzie wysokie piaszczyste brzegi porosły sosnami i łzawymi krasnymi kalinami.

Znekana szarością życia, zmęczona lenistwem, mimo protestu starszych, którzy twierdzą, że to bardzo niebezpieczna rzecz, bo można zmknąć, spalić się na słońcu, utonąć wreszcie, siadam do łodzi i płynę, gdzie oczy poniosą. Czuję płomień młodej krwi w żyłach, chciałabym, aby moje wiosła miały skrzydła. Pędzę z junacką przekorną brawurą. Czemuż świat się zamyka szarym horyzontem?!

Ach! ile niezwykłych zdarzeń umie podpatrzeć oko uważne! Bajka, ta cudna złuda czasów dziecięcych, już dawno mi-



Kanał Augustowski.

nęła, a jednak... Oto widzę tańczące topielice z liliami wodnymi we włosach, wśród drzew snują się mgielkowe boginki, a między starymi skreconymi korzeniami widać czerwone czapeczki krasnoludków.

Ha, niestety! z bliska — to bluzy flisaków, to tylko skrzętne harcerki, które pracują wokół ogniska!

Jezioro, malowane pastelą, osnute lekką mgłą ze zbłękitniałymi pasmami lasów na brzegach, upaja. Można długi czas spędzić tu w niemym zachwycie. Krajobraz śmieje się milionami promyków słonecznych.

Zdała las przynosi odgłosy. Łódź kołysze się na falach. Kładę się na plecach i spaceruję oczami po niebie. Jakże romantyczne określenie! Jestem daleko w dziwnej krainie marzeń i tajemnic, lecz już trzeba opuścić stratosferyczne regiony i wrócić na padół ziemski. Jezioro — jak ogromna misa wody. Cisza wokół wprost przeraźliwa. Słyszę niemal dzwon mego serca. Cisza przedwieczorna. Już na zachodzie płonie zorza; uchodzące słońce zapala liliowo-złote blaski. Na Anioł Pański bije dzwon kościelny. „Idzie noc, słońce już zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z zbóży”. Zapada powoli noc, cała brylantowa od kropel rosy, pachnąca kwiatami. I oto na niebie ukazują się księżyc, na wodzie drży migotliwa wstęga jego promieni. Jezioro w tym świetle wygląda jak cudna bajka. Księżyc przygląda mi się z zimnym błyskiem oczu i drwiącym uśmiechem. Nie lubię księżycy, tajemniczego nocnego wędrowca wśród gwiazd.

Mam wielką ochotę przenocować na jeziorze. Może ktoś na dźwięk tych słów nakreśli sobie na czole kółeczko, ale cóż

to za noc w lecie? Ledwo słońce na zachodzie się schowa, już na wschodzie niebo różowieje. Niestety nasza wolna wola jest ograniczona. Nie wszystko wolno robić.

Księżyc oto naciągnął na swą starą łysinę czapę z chmur. Robi się coraz ciemniej. Trzeba wracać.

Zawracam, choć było tak cudnie!

Na ładzie oto błyszczą wielkie, migotliwe oczy spotkanej krowy. Koło mnie przelatuje spóźniony bocian. Lot jego jest piękny, majestatyczny. Znaczą coraz mniejsze koła i zniża się coraz wolniej ku gniazdu. Pan Bóg, myślę, kocha ptaki, gdyż w przeciwnym razie nie obdarzyłby ich skrzydłami, które dał także swym aniołom.

Teraz bardzo często budzą się w mej duszy wspomnienia ubiegłych, cudnych wakacji i aktualne refleksje. Oto w Polsce jest stanowczo za mało rozwinięte żeglarstwo i za mało osób spróbowało tego królewskiego sportu. Kajak powinien stać się najpopularniejszym sprzętem sportowym. Wymaga minimum wysiłku, żadnych nadzwyczajnych umiejętności, a za to daje moc pięknych wrażeń i zapas zdrowia na całą zimę.

„Ja” 283.

Wycieczka.

„Więc już jutro”... — myślę — i już nie zdając sobie dobrze sprawy, co to ma właściwie być jutro, zasypiam. Mija noc.

Otwieram oczy. Najpierw kieruję je na okno: mgła, światła nie widać. Teraz z kolei patrzę na zegar: 4-ta. Więc mam jeszcze godzinę czasu.

Za godzinę jestem gotowy. Przypinam do roweru teczkę, solidnie wypakowaną, ukrywam w zanadru przed bystrym okiem matki książeczkę P. K. O. Prawdopodobnie kazałaby ją zostawić w domu, wszak jadę do kolegi do majątku, więc po co książeczka. Siadam wreszcie na siodełko. Na pożegnanie słyszę jeszcze słowa: „a napisz, gdy tylko dojedziesz”.

Rozlega się suchy zgrzyt łańcucha i szum opon, zdzierających się po kamieniach szosy. Pędzę. Jest mi bardzo wesoło i beztrudno. Co za rokosz tak pędzić. Nie ja prowadzę rower, lecz on mnie niesie. Ach, gdyby nie ta mgła, zasłaniająca widok!

Powoli mgła opada. Słupy kilometrowe szybko mijają. Już Narew za mną. Rozglądam się po okolicy: tu gdzieś ma czekać Heniek. Przypominam jego słowa: „górką — wiatrak”.



O jest! — tam, na dole. Jakże się cieszę (homo est animal sociale).

Nie zawiódł.

Dodaję gazu. Osadzam wreszcie stalowego rumaka. Czołem! Heniek jako mechanik przystępuje od razu do pracy. „Daj oliwiarke”. Oliwi rower, przywiązuje gdzieś coś jakimś sznurkiem (moim) i-en avant do Mirka.

Urząd pocztowy małego miasteczka. Pochyleni z Mirkiem nad pulpitem fabrykujemy listy, nb. jednakowej treści: „Kochana Mamusiu! jestem u Stasia etc.” Opuszczamy pocztę i szukamy męża zaufania. Jest. Kował poczciwina zgadza się za dwa dni wrzucić nasze epistoły do skrzynki pocztowej. Pożegnawszy Stasia ruszamy dalej, narazie via Warszawa.

Bruk szosy raptem urywa się i, o dziwo, zaczyna się... beton. Kto by się tego spodziewał, patrząc na białostockie kocie łby, że w Polsce są szosy betonowe. Już blisko musi być stolica. Rzeczywiście po jakichś 40 klm. zaczynają się przedmieścia Warszawy. Ruch na szosie wzrasta. Po obu stronach ciągną się murowane domki, na lewo co chwila widzimy wagony wąskotorówki. Odczytujemy nazwy stacji: Marki, Pelcowizna.

Już jesteśmy w mieście. Wjeżdżamy w gwarne ulice. Ale gdzie nam prowincjonalom jechać przez środek stolicy. Postanawiamy, o ile się da, posuwać się bocznymi ulicami. Na prawo widzimy mniej ruchliwą ulicę, więc tam udajemy się. Zapytujemy o drogę do Raszyna. Co za szczęśliwy wybór kierunku! Dowiadujemy się, że dobrze jedziemy. Warszawiacy są widać bardzo uprzejmi i nie chcieli nam robić przykrości oświadczeniem, że jesteśmy na złej drodze. A przecież tak w istocie było! Po godzinie jazdy dojeżdżamy do... Jabłonna! Ten obraz tak przygnębiająco wpływa na „członków wycieczki”, że Heniek idzie do kawiarni z zamiarem wydania wszystkim forsy i powrotu w rodzinne pielesze. Jednak udaje się nam odwieść go od tego zamiaru.

Wracamy do stolicy. Teraz już jechaliśmy śródmieściem. Trzeba przyznać, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Warszawę można przebyć na rowerze. Jest to nawet dość przyjemnie, upaja człowieka ten ruch i pęd. Pędzisz niby kropla wody w dużej rzece.

Z Warszawy do Częstochowy. Częstochowa. Wehodzimy do kaplicy Matki Bożej. Panuje półmrok. Za żelaznymi kratami widać ołtarz. Tam jest jaśniej. Światło wielu wiecznych lamp odbija się o złotą zasłonę Obrazu, pada na liczne vota, zdaje się, że całe ściany są z tłoczonego srebra. Jaka cisza, jaki majestat stąd wionie! Zbliża się godzina 6-ta. Zebrało się sporo wiernych, zaraz będzie odstonięcie obrazu. Mały człowiek w białym habicie odkrywa ołtarz, zapala światło. Teraz wylaniają się z mroku wiszące na ścianach serca, nogi, ręce. Widzę i krzyż harcerek i ryngraf akademicki. Żelazne podwoje otwierają się. Zbliżamy się do ołtarza. Wehodzi ksiądz. Dzwonek. Wszyscy padają na kolana. Orkiestra zaczyna grać. Co za dziwna melodia! Jakże na mnie dziwnie działa. Zdaje mi się, że coś splywa wraz z tą muzyką do duszy, serce się rozszerza. Podnoszę oczy. Zastona sunie się w górę. Już widać szaty Matki Bożej. Wokół słysząc szept: „Zdrowaś Mario...” Już widać rękę... już odkryła się twarz. Ach, ta orkiestra! Dreszcz mnie wstrząsa od stóp do głów. Usta szepczą bezwiednie: „Święta Mario” Słyszę czyjeś głębokie westchnienie, z głębi duszy. Spada łza na kamienną posadzkę. Może jestem świadkiem jakiego cudu. Jeszcze raz kieruję wzrok na twarz „Pięknej Pani”. Jest ona ciemna, znać tylko 2 cięcia świętokradzkiej szabli. Jakże jest wzniosła!

Już pół dnia minęło, jak wyjechaliśmy z Częstochowy. Obecnie jedziemy nie, jak pierwotnie zamierzaliśmy, do Katowic i Krakowa, a może i Zakopanego, lecz do domeczku. Tak zarządziło mądre kierownictwo wycieczki, nie chcąc narażać uczestników na kilkudniową głodówkę. Nie mając nic innego do roboty obserwujemy rozpalony zachodem słońca widnokrąg. Ale już czas pomyśleć o noclegu.

Jak na złość nie widać wsi. Nareszcie wylania się z za górki. Wjeżdżamy między chaty, Z powodu późnej pory nie chcemy fatygować sołtysa zapisywaniem nas do ksiąg (co przychodzi z niemałym trudem), czytaniem dokumentów, dlatego też rozglądamy się za sklepikiem. Za chwilę pijemy mleko i zajadamy świeży wiejski chleb. Rozpytujemy o nocleg. Uprzejma sklepikarka rozumując całkiem słusznie, że jutro też będziemy jeść, udziela nam dachu nad głową i siana, a właściwie tylko siana. Wdrapujemy się na jakiś strych, pełen siana. Z zadowoleniem stwierdzamy, że tam nie będzie nam wca-

le duszno, a nadto będziemy mogli zabawiać się przed zaśnięciem liczeniem gwiazd. Nie jesteśmy pesymistami, żeby myśleć o deszczu i o tym, że obudzimy się rano możemy nie zastać rowerów tam, gdzie je zostawiliśmy wieczorem. Stoczywszy krótki bój o miejsca, nie przysłuchując się zbyt wczesnym głosom wsi, zasypiamy.

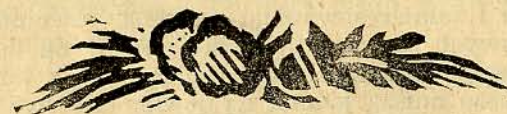
Jedziemy dalej. Już towarzysze moi chyba są u siebie, może już jedzą kolację, a ja jeszcze jadę. Te słupy kilometrowe pod Białymstokiem są chyba dzisiaj odległe o 2 km.

Już noc zapada. Jakże się ciężko jedzie, pierwszy raz od tygodnia. Zamiast żałować, że nie dojechałem do Krakowa, z zadowoleniem myślę o miękkim łóżku, które czeka na mnie w domu. Przestaję pracować pedałami. Oto widać światła w od-dali: to Ignatki! Nabieram sił. Jeszcze kilka minut — i już jestem w domu.

Mietek 281.

Niech żyje Armia!

Środa, 15 września. Poranek szary i mglisty nie zapowiada nic szczególnego. Obywatele z zapalem czytają ostatnie wiadomości: „O godz. 15, bez względu na pogodę, wracają żołnierze z manewrów do miasta. Społeczeństwo postanowiło ich serdecznie i szczerze powitać”.



W popołudniowych godzinach zapanowało w mieście niezwykle podniecenie. Pomimo chwilowego deszczu młodzież szkół średnich i powszechnych dąży na powitanie wracających oddziałów. Domy przybrane są sztandarami i zielenią. Przy zbiegu ulicy Kolejowej i szosy Żółtkowskiej wzniesiono bramę powitalną z napisem: „Niech żyje Armia!” Koło bramy ustawiają się delegacje związków i organizacji, dalej harcerki i harcerze i szkoły. Oczy wszystkich skierowane są w stronę, z której mają się ukazać pierwsze szeregi żołnierzy.

Już widać!...

Przed bramą zatrzymuje się sztab pułku piechoty.

Pierwsze powitania...

Orkiestra gra hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”. Przy dźwiękach marsza dowódcy ruszają naprzód, za nimi niezliczone szeregi wojska. Przechodzą wśród okrzyków: „Niech żyją, niech żyją!” Powódź kwiatów spada na idących dziarskim krokiem żołnierzy, którzy dziękują uśmiechem za tak serdeczne przyjęcie i podchwytyją wiązanki.

Dobrotliwe słońce ukazuje się z za chmur i dodaje uroczystości szczególnego uroku. Entuzjazm publiczności dochodzi do kulminacyjnego punktu. Koło Grobu Nieznanego Żołnierza szeregi łamią się i odchodzą do swoich koszar.

Uroczystość skończona.

Publiczność nie może zmieścić się na chodnikach, płynie więc olbrzymią falą środkiem jezdni.

Powoli miasto przybiera swój normalny wygląd.

W duszy i w sercu licznej rzeszy obywateli białostockich pozostała radość i duma ze swej armii, której potęgą pozwala państwu rozwijać się, wszystkim zaś żyć w spokoju i pewności jutra.

H. K. IV-a 283.

Na Krywlanach.

Wśród pochmurnego, mglistego ranka maszerujemy dość ochoczo. Przebyliśmy już wyboiste bruki przedmieścia, zagłębiając się w większe skupienia drzew i wychodząc wreszcie na rozległe łąki. Jesteśmy na miejscu.

Widać oto liczne twarze białostoczan, którzy ze szczególnym podziwem i zainteresowaniem oglądają równiutki szereg lekkich, sportowych samolotów, ustawionych na lotnisku — rozległej, poroślej trawą łące. Zmieszaliśmy się z tłumem.

Uwagi nasze muszą jednak na pewien czas być powstrzymane, bo oto z oddali dochodzi głos kapłana, celebrującego mszę św. Padają ostatnie słowa kazania, po którym bezpośrednio następuje uroczyste poświęcenie samolotów, ufundowanych przez dzieci ziemi białostockiej i przekazanie ich Aeroklubowi Gdańskiemu.

Wtem do uszu naszych dociera stłumiony z początku, lecz z każdą chwilą wzmagający się warkot motoru, za chwilę zaś nad lotniskiem pojawia się potężny trójmotorowiec „Fokker“, który koncentruje teraz wyłącznie uwagę całej publiczności.

Kilka minut niecierpliwego oczekiwania nagrodzone zostaje efektywnym widokiem skoków spadochronowych. Pierwszym, który opuszcza samolot inaugurując skok próbny, jest

właśnie białostoczanin, a wkrótce za nim skacze cała grupa, składająca się z dziewięciu skoczków. Stwarza to widok nadzwyczaj emocjonujący, a w Białymstoku prawdopodobnie po raz pierwszy oglądany. Spadochrony rozwijają się jak olbrzymie parasole i płyną w dal, znoszone silnym wiatrem. To też tylko jeden ze śmiałych lotników ląduje na polu startowym, podczas gdy wszyscy inni — na dość odległych polach.

Lecz oto czeka nas już nowa emocja. Z lotniska startuje lekki sportowy samolot holując na linie szybowiec akrobacyjny. Po kilku okrążeniach osiągają odpowiednią wysokość i odczepiony szybowiec rozpoczyna akrobacyjne, śledzone przez publiczność z nadzwyczajnym zaciekawieniem. Beczki, woleje, korkociągi, loopingi są zarówno dla znawców, jak i dla laików widowiskiem, wzbudzającym szczery zachwyt. Biały wysmukły szybowiec sunie cicho w przestworzach, popychany siłą wiatru, a kierowany wprawą ręką pilota podąża posłusznie torem linii akrobacyjnych. Wtem spada na dół, zdaje się za chwilę runie na ziemię, lecz nie! on tylko nabiera szybkości, by zademonstrować efektowny „looping”. Taka brawura, taka szalona odwaga lotnika zostaje nagrodzona rzęsistymi brawami publiczności.

Wreszcie ostatni punkt popisów — akrobacje lekkiego sportowego samolotu, które dzięki swej efektywności utrzymują nas w niesłabnącym napięciu.

Lecz oto stalowy rumak ląduje już miękko na polu zwiastując koniec uroczystości.

Opuszczamy lotnisko z uczuciem radosnej dumy, z uczuciem, jakie wzbudza w nas zawsze widok sprawnej i w każdej chwili gotowej do obrony państwa armii. Uczucie to jest jeszcze bardziej uzasadnione, gdy podziwia się tak wyszkolone lotnictwo, jeden z najważniejszych środków, zabezpieczających przyszłość naszego państwa, podstawę jego obrony.

„Ka - Zet” 281 — 1 lic.

Kometa Finslera.

Wielką sensację w tym roku wzbudziło ukazanie się komety, widocznej okiem nieuzbrojonym na sklepieniu niebieskim. W pierwszej połowie lipca szwajcarski miłośnik astronomii Finsler, zamieszkały w Zurichu, odkrył ją na tle gwiazdozbioru Perseusza (Perseus). Wówczas nie posiadała ona warkocza i przedstawiała się jako słaba gwiazdka 7-ej wielkości, czyli że mogła być dojrzana przy pomocy silnej lornetki polowej.

Kometa, odkryta w konstelacji Perseusza, weszła 20 lipca do gwiazdozbioru Żyrafa (Camelopardalis), następnie minęła 3 sierpnia północny biegun niebieski w odległości 11° , przebiegła konstelacje: Smoka (Draco), Wielkiej Niedźwiedzicy (Ursa Maior), Psów Gończych (Canes Venatici), minęła 22 sierpnia Arkturusa, gwiazdę α konstelacji Wolarza (Bootes), potem przeszedłszy przez gwiazdozbiór Panny (Virgo) weszła na południową półkulę nieba i tym samym przestała być dla nas widoczna. Kometa, oglądana przez silną lornetkę lub niedużą lunetę, przedstawiała się w postaci słabej mgiełki.

Ogon jej nie był w ogóle widoczny wskutek niezwykle małej gęstości zawartej w nim materii. Analiza widmowa wykazała, że był to cyjan.

Komety biegną po dwóch rodzajów torach: po elipsach i parabolach. Te, które pędzą po elipsach, noszą nazwę periodycznych lub okresowych i powracają co jakiś czas. Komety drugiego rodzaju nigdy do nas nie powracają. Taką też była kometa Finslera. Obiegła ona naszą gwiazdę dzienną po olbrzymiej paraboli, nachylonej do płaszczyzny orbity ziemi (ekliptyki) pod kątem 31° . Przez punkt przysłoneczny (perihelium) przeszła 12 sierpnia w odległości 130.000.000 km. od Słońca.

Każda kometa składa się z następujących części: z głową, w której środku znajduje się jądro, składające się z cząsteczek stałych, rzadko w przestrzeni rozproszonych, i z warkocza, zwanego także ogonem, który się tworzy pod wpływem siły odpychającej światła słonecznego. Średnica głowy komety Finslera stanowiła mniej więcej $\frac{1}{4}$ średnicy Ziemi, jądro zaś $\frac{1}{3}$. Masa jej była niezwykle mała, mniejsza niż najmniejsza planeta.

„Astronom” 281.

Na giełdzie.

„Bez śladu twa wielka miłość minie” — płyną tony melancholijnego tanga z megafonu na plantach. Tak chciałybyśmy usłyszeć, co dalej, lecz trudno, spieszymy na giełdę książek szkolnych, więc rezygnujemy z dalszego ciągu pięknej treści szlagieru. Oddaliśmy się od plantów i wkrótce do uszu naszych muzyka już nie dobiega.

Nareszcie znajdujemy się na podwórku, gdzie mieści się giełda. Podwórce jest dość brudne i ciasne, lecz zupełnie wystarczające dla publiczności, jaka tu przebywa. Wszyscy swoim zachowaniem pozostawiają wiele do życzenia, gdyż słychać krzyki, hałasy i śmiechy. Zewsząd dolatują mniej lub więcej ciekawe rozmówki.

„Co koleżanka się tak rozpycha, oczu nie ma, czy co?”

„Wlazłem” tylko na ścianę, a mam białe spodnie” — mówi podniesionym głosem jakiś wysoki sztubak, posiadający niestety jeszcze tylko niebieską tarczę.

„Ach, przepraszam najmocniej” — odzywa się z ironią w głosie „rozpychająca się” koleżanka o długich warkoczach, z paką książek pod pachą — „ale się śpieszę sprzedać książki, a tu płacze się kolega bez celu. Uważałam za słuszne pchnąć go, żeby się nie gapił”. Po czym nie zważając, co odpowie jej na to obrażony kolega, pędzi na giełdę.

„Co, za taką książkę 1 zł.? — krzyczy jakiś mały powszechniaczek — przecież to same strzępy!”

„No, to idź, kupuj sobie taniej, tylko ja ci mówię, że nie dostaniesz”.

„Panie, czy jest „Nauka wiary i moralności katolickiej” do VI oddz.?” — pyta jakiś mogący się poszczycić nadzwyczaj wielkim wzrostem uczeń jednej ze szkół powszechnych.

„Nie, przed chwilą sprzedaliśmy”.

„A czy jest „Disce latine” do IV klasy?”

„Owszem, proszę”.

Trzy jakieś koleżanki stanąwszy na boku rozmawiają z ożywieniem.

„Zosia, patrz, nawet O—r sprzedaje”.

— „O, i Ewka też przysłała!”

— Boże, cóż to za działacze społeczni. Patrz, z tego w granatowej marynarce to aż pot się leje, tak pracuje.

Rzeczywiście, sprzedawcy książek pracują solidnie i niejednemu na prawdę ze zmęczenia na czoło wystąpiły krople potu. No, bo i nie łatwo jest obsłużyć tak liczną rzeszę klientów, a w dodatku krzykliwych i tak często kłócących się o byle głupstwo, żądających na przykład, aby książki były podklejone, aby sprzedawać je za mniej niż pół ceny i t. p. rzeczy.

Oj, nieszczęśliwa jest dola sprzedawców na giełdzie, choć zarazem bardzo wesoła.

Nasłuchawszy się do woli rozmówek przedostajemy się wreszcie do lady, za którą stoi kilku interesujących chłopczków. Nie możemy się dowiedzieć, czy są książki, których potrzebujemy, albowiem owi chłopczkowie tak są zajęci sprzedawaniem trzem miłym koleżankom, że nie zważają na resztę klientów. Owe starszo-klasistki wyraźnie tylko niby kupują! Doprowadza to nas do pasji, bo czy dlatego tylko, że mamy tylko niebieskie tarcze, musimy tyle czekać?

Zwracamy się ostro do tych starszych koleżanek z admonicją. Z ironicznymi uśmiechami opuszczają jak niepyszne giełdę.

O, teraz odrazu i szybko załatwiają nas. Rozumiemy się doskonale. Wkrótce dźwigając pod pachą kilka książek opuszczamy giełdę.

L. i D. 283.

Za kulisy po słowo

Wywiad — reportaż z za kulis Teatru Objazdowego w dniu wystawienia sztuki „Orle” — E. Rostanda.

Przebrzmiały ostatnie brawa na widowni. Opustoszały rzędy krzesel i pozostaliśmy tylko my, t. zn. „Ja” i ja. Purpurowa kurtyna zapadła przed chwilą i zasłoniła pokój księcia Reichstadzkiego. Zakończyła się tragedia życiowa „Orlecia” — syna Napoleona Bonapartego. Doskonała gra artystów, świetne kreacje p.p. Pelińskiego Mariana („Orle” — ks. Reichstadtu), Rygiera Jerzego (Serafin Flombeau), Mieczynskiego Mieczysława (Cesarz Franciszek) i innych. Całość doskonale wyreżyserowana przez p. Dąbrowskiego Stanisława, który w roli ks. Metternicha był wręcz wspaniały, pozostawiła głębokie zadowolenie wśród tak wybrednej i pełnej krytycyzmu publiczności, jaką jest młodzież szkolna.

Po schodkach wchodzimy na scenę. Personel techniczny przygotowuje dekorację do pierwszego aktu wieczorowego przedstawienia. Przed garderobą stoi ks. Metternich, poważny, wysoki, smukły. Oto człowiek, który rządził Austrią wedle swojej woli, a oto teraz po zrzuceniu munduru księcia zmienia się w głównego kierownika najdrobniejszych posunięć w tym mechanizmie, który tworzy scenę, a na niej aktorzy. To pan Dąbrowski St. — reżyser. Na fotelu siedzi „cesarz Franciszek” i dysponuje: „Mnie proszę mocną herbatę z cytryną”.

Szukamy p. dyr. Grodnickiego. Jest w kasie. Przedstawiamy się. Miast legitymacji redakcyjnej kładę trzy kolejne numery „Głosu”. To wystarczy.

— „Wszelkich informacji dokładnych udzieli państwu kierownik literacki, p. Artur Horwath”.

Pan Horwath chwilowo nieobecny. Trzeba poczekać. W międzyczasie robimy malutki wywiad z p. Pelińskim. Garderoba mała. Przed lustrem szminki (Leihnera) i szklanka... gorącej herbaty. Pan Peliński ostatnio występował w Teatrze Polskim w Poznaniu. Pytamy:

Jakie wrażenie zrobiła na Panu publiczność białostocka, a szczególnie młodzież?

— Publiczność interesująca, w przeciwieństwie do poznańskiej, która jest bardzo powściągliwa w okazywaniu swej sympatii. Młodzież? Bardzo serdeczna. Przyjemnie jest grać i zdobyć się na maksimum wysiłku, gdy ma się reakcję tak serdeczną, jak ze strony młodzieży.

— Proszę podkreślić — mówi p. Peliński — moją wielką sympatię do młodzieży i podziękować za uznanie, jakie otrzymałem w formie tak licznych braw.

Wychodzimy z garderoby. Nasza pseudo-dziennikarska ciekawość każe jeszcze nawiązać rozmowę z p. Wróblewskim (attaché ambasady franc.). I tu słyszymy potwierdzenie, że młoda publiczność dużo znaczy dla aktora. „Żywa widownia zachęca i stwarza pewne zbliżenie pomiędzy widzami a grającymi”.

Wstępne „boje” się skończyły. Obecnie p. Artur Horwath udziela nam odpowiedzi na zadawane pytania.

— *Jakie sztuki dla młodzieży będą przeznaczone na ten sezon i jak często?* pytamy na wstępie.

— „W najbliższym czasie t.j. w początkach października — otrzymujemy odpowiedź — wystawimy sztukę Ruszkowskiego p. t. „Mąż z grzeczności”, na 11 listopada zaś przeznaczony jest „Horsztyński” J. Słowackiego, lub też „Sułkowski” St. Żeromskiego. Dokładnie wyboru jeszcze nie ustalono. Potem pójdzie „Zaczarowane koło” Rydla. Tak się przedstawia mniej więcej program na najbliższą przyszłość...

...*A na dalszą, Panie Kierowniku?... Bo trzeba przyznać, że poprzedni sezon nie obfitował w zbyt wiele sztuk dla młodzieży?...*

— Tak!.. Miniony sezon był stosunkowo słaby. Nie przewidzieliśmy jednak jeszcze i obecnie programu dla młodzieży na dalszą metę. Może dlatego, iż poprzednio frekwencja jej była bardzo słaba... Nie zawsze młodzież dopisuje...

— *To wielka szkoda! A czy chętnie Państwo grają dla młodzieży?...*

— Bardzo chętnie! Aktorzy lubią grać i wtedy jest trudniej grać. Młodzież patrzy na wszystko bardzo krytycznym okiem i wystarczy najmniejszy niezręczny ruch, aby powstały śmiechy na sali... Lecz gdy dobrze jest zagrane, sypią się brawa bardzo serdeczne. A entuzjazm młodzieży daje pełne zadowolenie.

— *Jaki repertuar cieszy się u publiczności największym powodzeniem?*

— Sztuki historyczne nie cieszą się uznaniem starszej publiczności. Starsi wolą czerpać z teatru rozrywkę i chętniej widzą rzeczy weselsze. Młodzież zaś chce uczyć się poniekąd i stąd płynie jej sympatia do rzeczy poważniejszych.

— *Czy moglibyśmy otrzymać nieco szczegółów o pracy Państwa w teatrze?*

— Dzisiaj o pierwszej w nocy jedziemy do Grodna, tam dajemy trzy przedstawienia. Jedno w sobotę, a dwa w niedzielę. Następnie będziemy w Augustowie i Suwałkach.

Jeździmy samochodami, nie pociągami. Wozimy ze sobą dekoracje. Dwa duże, ciężarowe auta. Ot!.. wiedzimy takie cygańskie życie. Rozkład pracy np. tego tygodnia przedstawia się tak (proszę o tym pamiętać, że przygotowujemy trzy premiery w miesiącu). We wtorek przed inauguracją sezonu, t.j. dn. 14-IX mieliśmy próbę generalną od godz. 18 do 6 rano. Całą noc. W środę byliśmy o 9-ej na nabożeństwie. Potem próba, próba techniczna. Od 16.30 do 2 w nocy przy pracy i wyjazd z Grodna do Białegostoku. Dzisiaj po pierwszej skończy się przedstawienie i jazda do godz. 4-ej. A jutro o dwunastej próba....

— *A teraz pewne niedyskretne pytanie. Widzę, że kostiumy, rekwizyty są bardzo solidnie zrobione, z dobrego materiału... To przecież masę pieniędzy kosztuje. Jak Państwo dają sobie radę z budżetem?*

Pan Kierownik uśmiecha z zadowoleniem.

— Mimo, proszę Pana, iż koszty są duże, nie mamy deficytu. Coprawda, różnie bywało, lepiej i gorzej. Zwyczajna rzecz... W I.K.C. był swego czasu nawet artykuł o tytule: „Teatr, który przewyciężył kryzys”.

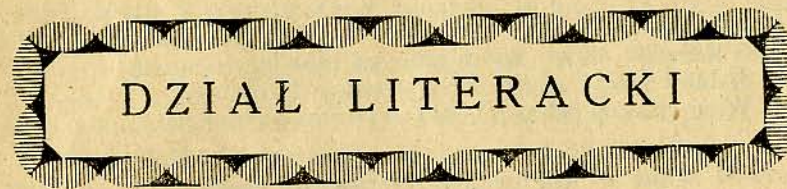
Kończę naszą rozmowę z panem Horwathem, dziękujemy bardzo za ciekawe informacje. Przy sposobności proszę o fotografię całego zespołu.

Uścisk dłoni. Dowidzenia.

Po drodze przez chwilę rozmawiamy z p. Mieczysławem Piotrowskim, absolwentem p. g. im. M. J. P. i byłym współpracownikiem naszego pisma. Dziw, że i pod warstwą szminki tak dobrze poznają twarz b. starszego kolegi. P. M. P. świetnie odtworzył w sztuce „Orle” charakterystyczną rolę krawca. Żegnamy się serdecznie.

Przechodzimy obok opartych o ścianę dekoracji. Nie zmontowane jeszcze wnętrza salonu w willi Marii Ludwiki. Zielone, pluszem obite fotele, stojące nieruchomo posagi z wosku, bielone, teatralne plakiety. Za niedługą chwilę wszystko ożyje.

Wywiad skończony.



Pragnąłbym...

Pragnąłbym kiedyś tak pisać oktawą,
Jak sam Słowacki, co się mistrzem mieni,
Choć jest to dla mnie wielce trudną sprawą,
Bo w niej się dużo zawiera odcieni...
...Więc zabrzmi czasem i smutno i łzawo,
Tonem, co znają grobowce z kamieni,
Owiane szumem brzoź polskich płaczących,
Wysłuchane w skargę serc ludzkich cierpiących.

To znowu tonem o wielkiej zadumie,
Co czoło marszczy i pochyła głowę,
Głęboko w ludzkim odezwie się tłumie
I płynie smutna ponad szlaki nowe,
Modlitwą staje w Chrystusowym tumie
I sama wpada w Chrystusową mowę,
Kierując oczy tam, gdzie z ramion krzyża
Konającego twarz nad tłum się zniża.

Chwilami znowu rozbłyśnie pogodą,
Rozchyli wargi do szczerego śmiechu,
Pociągnie ludzi czarującą zgodą
I zakłnie urok w niemilkącym echu,
Życiem się każe cieszyć i urodą,
Udzieli siły i mimo pośpiechu,
Mimo, że pędzi wśród czasu wskazówek
Zamknie znużenie za kratą zasuwek...

To błyska złotem, purpurą, szafirem,
Marzeń się staje tajemniczą bramą,
Jest ludzkich uczuć kręcącym się wirem
I tychże uczuć granicą i tanią,
Cieszy się wszędzie powagą i mirem,
Dźwięczy nie tonem, ale całą gamą,
Błyska piorunem ze zwałów chmur czarnych,
Będąc postrachem i pysznych i marnych...

Dużo by pisać, lecz nie zmieszczą karty.
Mój język jeszcze wszystkiego nie powie,
Bo na powszednim chlebie nieco starty
I nie ćwiczony w mistrza giętkiej mowie,

Szeleści tylko jako papier darty,
A chociaż słowo mi płynie po słowie,
Jednak wciąż czuję, że wszystko daremnie,
Więc proszę tylko: O, nie szydźcie ze mnie!

Wszak to oktawa i pierwsze me kroki.
Ona — królowa, ja — rymopis lichy,
Lecz niezbadane są nieba wyroki —
W duszy mi dźwięczy, jak kwietne kielichy,
Że, chociaż spłyną niejedne potoki,
To mój wysiłek, tak wielki, choć cichy,
Nie będzie pracą daremną i marną
I może będę siał złociste ziarno.

S. Pankowski 281.

Rozśpiewał się...

Rozśpiewał się las jedną ze swych pieśni,
Zakołysał drzew koronami...
Oj! nie pojmą jej ludzie współcześni:
Inny świat ich nęci i mami.

Biły zegary...

Biły zegary godzinę północy,
Noc się skończyła i dzień się zaczyna.
Naród się budzi ze swojej niemocy.
Nadeszła czynu godzina!

S. Pankowski 281.

Opowieść o psie Kruka.

Na gwizd Kruk podtulił silniej ogon pod siebie i sam przygiął się do ziemi, jakby pod tęgim razem kija, a nieufne i strwożone ślepia zwróciły się na stojącego mężczyznę.

— Pójdź tu!

Wołanie, przeplatane gwizdaniem, zatrzymały Kruka w biegu, ale nie wzbudziły widać ufności, bo stanął przyglądając się uważnie.

Jakiś ty? — pytały rozlatane ślepia — Czy kij z twej ręki także ma spaść na mój grzbiet, jak spadały inne kije

przed chwilą z rozkrzyczanej ludzkiej gromady? Com ci zawinił? Po co mię wołasz?

Ale niestanny głos, brzącający tak ciepło, wlewał otuchę w pełne goryczy serce zwierzęcia, tylko ta laska. Po co ona? Była symbolem wyższości człowieka nad nim, nad psem.

Człowiek, odgadując przedmiot nieufności, odrzucił ją na razie od siebie. Kruk w pierwszej chwili porwał się do ucieczki. Przystanął po paru susach, wstrzymywany nawoływaniem. Śledził dłoń ludzką, co zbliżała się ku jego głowie. I znów skok w tył. Pamięć nakazuje ostrożność. Wszak sama ręka też potrafi zadać ból. Lecz tym razem brzmienie głosu człowieka i jego twarz przeczą podejrzeniom. Palce dotykają sierści, łeb zniża się mimowoli, ale już nie cofa.

Jakże zmienne są ręce ludzkie. Jedne — tak twarde i srogie. Ta — jednak do tych nie należy. Sunie łagodnie wzdłuż grzbietu, przenosi się na uszy i znowu sunie delikatnie i jeszcze raz... i jeszcze raz..., a głos dźwięczy tak ciepło, że psi łeb z wyrazem wielkiej ufności w dużych, brązowych ślepiach wznosi się ku twarzy schylnego człowieka i język w niemej podzięce liże końce jego palców.

* * *

Okno — przysłonięte ciężką firanką. Na łóżku w kącie pokoiku leży chory człowiek. Lekarz, w tradycyjnych okularach na nosie, zaleca spokój.

— To prędko przejdzie. Przeziębienie. Brak uwagi. Teraz tylko: ciepło i spokój.

Przez otwarte drzwi wpada do pokoju Kruk z kością w zębach. Przypada do łóżka chorego, wspina się na nie i kładzie ją ostrożnie na skraju. Po czym szczełaniem daje znać o swoim uczynku.*)

Oczy lekarza wyrażają więcej niż zdziwienie.

Chory z bladym uśmiechem na ustach tłumaczy:

— To Kruk mnie tak pielęgnuje. Widzi, że nie wstaje, więc przynosi mi, co tylko znajdzie. Tym razem kość. Przedtem był śledź, skórki chleba. Odwdzięcza mi się za przygarńnięcie, gdy go gnała banda łobuziaków, a on zmykał z podwiniętym ogonem. Pocziwe psisko, jak nieraz nie potrafi być człowiek.

Łzy rozrzewnienia stają w oczach opowiadającego.

— Istotnie! — przytakuje gorąco lekarz i gładzi psi łeb, przytulony do zwisającej ręki chorego.

Wzruszony wychodzi.

*) Autentyczne

Właściciel Kruka z bolesną zmarszczką na czole śledzi płomienie, pożerające w swych skrętach pokryty pismem papier. Wzrok leci w nasiąkłe ciężką, wilgotną mgłą powietrze, co podwaja ciężar, leżący na duszy człowieka.

Tchu! Pierś podnosi się gwałtownie.

W głębi ból, jakby ktoś stargał wewnątrz nerwy i mięśnie. Pod spokojną powierzchnią twarzy wre rozhukane, spienione morze uczuć. Ręka, co chciała wygładzić zmarszczki czoła, opada bezsilna. Oczy w wędrówce padają na wiszące na ścianie portrety starszej kobiety i mężczyzny. Z pomiędzy warg szept:

— Wy, choć z daleka, jesteście i będziecie ze mną.

Lecz oto na ręce coś mokrego, ciepłego: to palce napotykają psi łeb, co legł na kolanie chorego i cichym skomleniem przypomina o swej obecności.

— Ach to ty, Kruku. Tak, jesteś i ty!...

S. Pankowski 281.

KRONIKA.

Z gimnazjum żeńskiego im. A. Jabłonowskiej.

Początek roku szkolnego.

Dnia 3-IX zebrałyśmy się po raz pierwszy po wakacjach w murach gimnazjum. Nowy rok szkolny 1937/38 rozpoczęliśmy uroczystym nabożeństwem w kościele Farnym.

Komunia św. Dnia 9 i 10-IX uczennice naszego gimnazjum przystąpiły do spowiedzi i Komunii św.

Powitanie wojska. Dn. 15-IX gimnazjum nasze wzięło udział w powitaniu wojska, wracającego z manewrów.

Sodalicja. Na pierwszym organizacyjnym zebraniu naszej sodalicji został wybrany nowy

zarząd w którego skład weszły kol. kol.: H. Wyrzykowska — prezydentka, Ambrożejówna, Broszówna, Dragoniewiczówna, Sędziakówna — członkinie.

Harcerstwo. Dnia 2-X odbyło się pierwsze uroczyste ognisko, w którym wzięły udział zaproszone drużyny i uczennice.

Zebranie „Rady Naczelnej”. Na pierwszym zebraniu „Rada Naczelna” zatwierdziła programy prac na rok szkolny 37/38 poszczególnych klas i organizacji.

Wszystkie klasy postanowiły w dalszym ciągu opiekować się szkołami na Polesiu, oprócz tego klasy wyłoniły indywidualne projekty interesujące daną klasę.

Rada Naczelna ustanowiła dla ogółu uczenie hasło: „Bądź uspołeczniona”.

Z gimnazjum Imienia Marsz. J. Piłsudskiego.

Zebranie. Dnia 24-IX-b.r. odbyło się walne zebranie członków Szkolnego Koła L. M. K. Udzielono ustępującemu zarządowi absolutorium i wybrano nowy w składzie następującym: kol. kol. Mazurek IV (prezes), Koczorowski III (v-prezes), Zulauf IV (sekretarz), Głogiewicz IV (skarbnik), Harasimeczyk IV, Zabłocki III, Kral III — jako bibliotekarze. Następnie nadano E. Smaczemu kl. VII członkostwo honorowe za pracę na polu L. M. K.

Powitanie wojska. W dniu 15-IX gimnazjum nasze wzięło udział w uroczystym powitaniu oddziałów wojskowych, powracających z manewrów.

Imieniny p. Dyrektora. Dnia 28-IX obchodziliśmy uroczyste Dzień Imienin P. Dyrektora Dr. Wacława Kwapińskiego. Po złożeniu życzeń od Samopomocy Uczniów, Szarej Piątki i Koła Krajoznawczego, wznieśliśmy okrzyk na cześć Dostojnego Solenizanta i odśpiewaliśmy „Sto lat”. Następnie chór i orkiestra pod batutą p. prof. St. Sobie-rajskiego wykonały kilka utworów wokalnych i muzycznych.

Wspomnienia z wakacji. „Szara Piątka” odbyła w dniach od 5 — 20-VII obóz pod namiotami nad jez. Rospuda k. Augustowa. Komendantem obozu był d-h H. O. St. Kowalski.

Opiekę nad obozem przyjęli p. p. prof. A. Wróbel i M. Zakrzewski.

Odczyt. O włóczędze „Po krainie jezior” d-h Głuszek M. wygłosił odczyt przez megafony M.U.P. w dniu 1-IX oraz gawędę z przezroczami w gimnazjum w dniu 5-X b.r.

Z gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta.

Początek roku szkolnego.

Dnia 3. IX. 37 r. nabożeństwem w kościele Farnym rozpoczęliśmy uroczyste nowy rok szkolny.

Spowiedź i komunie św. Dnia 10. IX odbyła się spowiedź w kościele Farnym, nazajutrz zaś po wysłuchaniu mszy św. przystąpiliśmy do komunii św.

Powitanie wojska. W dniu 15. IX. szkoła nasza wzięła udział w powitaniu oddziałów wojskowych, wracających z manewrów.

Na Krywlanach. W dniu 19. IX. 37 r. uczniowie naszego gimnazjum udali się na prowizoryczne lotnisko w Krywlanach, gdzie odbyło się przekazanie samolotów ziemi białostockiej aeroklubowi gdańskiemu.

Kółko krajoznawcze. Dnia 2. X. 37 r. odbyło się pod przewodnictwem p. prof. Spytkowskiego zebranie informacyjne kółka. Na zebraniu tym ukonstytuował się zarząd w składzie następującym: kol. Baranowski — prezes, kol. Siedlecki — vice-prezes, kol. Germaniuk — sekretarz i kol. Kołodziejski — skarbnik.

K o n k u r s.

Termin nadsyłania prac na **konkurs na okładkę**, ogłoszony przez nas w numerze 3 „Głosu Uczniowskiego” za maj — czerwiec b.r. **przedłużamy do dnia 15 listopada b. r.**

Nagrody książkowe stanowią: I — ekwiwalent 25 zł., II — 15 zł. i III — 10 zł.

Odpowiedzi Redakcji.

T. 283. — Z artykułu p. t.: „Ulica” nie skorzystamy, gdyż temat jest mało aktualny i ujęcie słabe. Zachęcamy do dalszej pracy.

J. S. 283. — Nie drukujemy. Powody jak wyżej.

„Rajczanka” 283. — Wiersz p. t.: „Deszcz pada” wykazuje w formie i wykonaniu zbyt duże braki. Nie skorzystamy.

„Zyń” 282. — „Z książką w ręku” — temat klasówkowy. Opracowanie pozostawia dużo do życzenia. Prosimy o inne próby.

J. B. IV-a 283. — Artykułu „O czym tu pisać?” nie umieszczamy. Dziecinne traktowanie tematu. Prosimy o czys, a nie o nieczym.

Ei-Jot IV-a 283. — „Z obozu krajoznawczego” — trzeba temat traktować poważniej i staranniej opracować. Proszę się nie zniechęcać. Prosimy o dalsze próby.

P. P. IV-b. — Nie drukujemy. Słabe wykonanie.

J. B. 282. — Z nadmiaru materiału obecnie nie umieszczamy. Prosimy o tematy z życia szkolnego.

A. Kozanecki 282. — Powody jak wyżej. Odłożone do następnego numeru.

Oskar 282. — Z artykułów „Kontusz i mundur” oraz „Geniusz i megafon” chwilowo nie skorzystamy. Zbyt dużo słów niepotrzebnych. Proszę ujmować rzecz treściwie, a artykuł zyska na wartości. Oczekujemy od kolegi innych prac.

Przenumerata roczna „Głosu Uczniowskiego” (za 5 conajmniej numerów) wynosi zł. 1,50. Zamiejscowa zł. 2.

Cena ogłoszeń: Cała strona 32 zł., pół strony 16 zł., ćwierć strony 8 zł.

Adres redakcji i administracji: Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku, Świetlica „Samopomocy Uczniowskiej”.

Opiekun pisma z ramienia Rad Pedagogicznych: **Czesław Pietrasz.**
Redaktor — **Władysław Roleder.**

Wice-Redaktorka — **Z. Broszówna.** Wice-Redaktor — **M. Głuszek.**
Administrator: **K. Broniecki.**

Wydawca: „Rada Naczelna” Państw. Gimn. Żeńsk. im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, „Samopomoc Uczniowska” Państw. Gimnazjum Męskie im. kr. Zygmunta Augusta, oraz „Samopomoc Uczniów” Państw. Gimn. im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Białymstoku.

C Z Y W I E S Z,

że przez spółdzielczość podnosimy dobrobyt naszego kraju.
W sklepach spółdzielczych znajdziesz towary pierwszorzędnej jakości —
pochodzące z własnych wytwórni spółdzielczych.

A czy jesteś już w szeregach miejscowej spółdzielni

„ Z J E D N O C Z E N I E ”

Własna piekarnia i cukiernia cieszą się wielką popularnością.

KUPUJ WSZYSTKO W SKLEPACH SPÓŁDZIELCZYCH

„ Z J E D N O C Z E N I A ”

BIAŁOSTOCKIE

T-WO ELEKTRYCZNOŚCI

SPÓŁKA AKCYJNA

stosuje do gospodarstwa domowego

ulgowe ceny prądu

liczniki rabatowe i taryfy blokowe

GRZEJNIKI, RADIOODBIORNIKI oraz wszelkie

aparaty elektryczne do nabycia na raty

w biurze Elektrowni, Dział Propagadny tel. 49 i 3-91.

Pamiętajmy

o budowie

szkół powszechnych!